

A POLE

OPOWIADANIE
JANA PAPUGI
Z TOMU

'OCEANY OCEANY'



A POLE - POLAK

OPOWIADANIE JANA PAPUGI Z TOMU ' OCEANY OCEANY '

— Pole, kolo — mówił szturman półgłosem, tui przy nim.

Przestał patrzeć na wodę, odwrócił głowę. Było ciemno. „Czas na ster” — pomyślał sobie. Kiedy było widno, szturman często nie wymawiał nawet krótkich słów. Porozumiewali się doskonale oczami lub ruchem głowy.

Wszedł do sterówki. Marynarz, stojący przy kole, urągał śmiesznie. — Idzie jak tramwaj — podał wyraźnie kurs i wypadł na skrzydło.

Położył dłoń na najwyższej szprysze koła. Na kompasie kurs się zgadzał. Wbił wzrok w czarną szybę, słabo było widać cień idącego przed nimi okrętu. Sterował na kompas, statek dobrze słuchał steru. Gdy potrzeba było, wolno przekładał z ręki do ręki szprychy koła.

W sterówce nie było zupełnie ciemno. Tarcza biegów na telegrafie, lichy oświetlona, rzuciła skąpe smugi światła na ścianę, podłogę i sufit. Smugi odbijały się od nich rozpraszając ciemność i tworząc mrok, w którym oczy łatwo się orientowały. Okapturzony kompas mdławo oświecał spokojną twarz. Oczy, zawsze pełne życia, żarzyły się teraz marzącym spokojem. Były jednak uważne, pilnowały biegu statku. Średnio wysokie czoło pograżone było w myślach, orli, drapieżny, ale wesoły nos nadawał twarzom nieuchwytną, wyzywającą śmiałość. Szczeka nieduża, była jednak twarda, męska.

Wiatr zatrząsł szybami. Podniósł głowę, ogarnął oczami sterówkę i znów patrzył w kompas. Wiatr wzmagał się coraz mocniej. Statek ożył, pochylał się lekko na burty i szumiał wiatrem. Za szybami ciemność ustąpiła. Od czasu do czasu pokazywało się światło księżycy, po czym rozlewało się na wodę. Księżyc przez szyby oświetlał podłogę sterówki, czasami się chował, przysłonięty większą chmurą.

Sterował teraz na idący przed nim okręt, który doskonale widział wraz z całą kolumną. Z boku słyszał szturmana:

— Po co ten księżyc wylazł?

— Obyłoby się bez niego — odpowiedział — romansu nie będziemy odstawiać.

Od przodu, z boku konwoju, doszły ich odgłosy wybuchu bomb głębinowych, później odczuli drgnienia statku.

Szturman wyszedł na skrzydło, od zewnętrznej strony konwoju, skąd dochodziły wybuchy.

Księżyc pięknie przyświecał, był jednakowo obojętny, czy przyświeca! rozkochanej parze, czy tragedii.

Szturman po chwili wszedł do środka i zajrzał w kompas mówiąc:

— Inwazja dobrze idzie. Amerykanie posuwają się w stronę Półwyspu Normandzkiego.

— Za wolno idzie — odpowiedział mu. — Przecież są już dwa tygodnie, a ciągle prawie stoją w jednym miejscu.

Ale szturman, Anglik, był zupełnie zadowolony z osiągnięć. Obejrzał się, szturmana już nie było w sterówce.

Myślał o Peggy. Żegnając się z nim całowała go mówiąc: „Przyjdź do mnie, kiedy wrócisz”. Miła, mała Peggy. Kochała go i żądała tylko wzajemności. Kiedy sterował — dobrze mu było myśleć o niej.

Do Anglików przyszedł, aby się od nich nauczyć roboty i zrozumieć, co to jest szcur morski. Przekonał się jednak, że był od nich zręczniejszy w tym fachu. Myśląc o Anglikach mówił: „przeżyli się”.

Anglicy z nielicznymi wyjątkami traktowali statek jak fabrykę. Spełniali swoje obowiązki: w porcie po pracy ubrani na modłę lądową, zmieszani z tłumem ludzi zamieszkujących okolice portu, stapiali się z nim i ginęli.

Pobłażliwie traktowali statek jako rzecz nieżywą, podrzędną. On — przeciwnie. Statek był zawsze jego przyjacielem, dbał o niego wiedząc, że nie spotka się z obojętnością. Nigdy nie było mu obojętne, na jakim statku się znajdował. Statek pokraczny, brudny i zbyt skomplikowany szybko porzuczał śmiejąc się z niego jak z niezaradności ludzkiej. Zgrabny i o ładnej linii, czysty i prosty (nie dbał wiele o szybkość) był jego dumą i szczęściem. Trzymał się zawsze długo takiego statku. Często Anglicy hamowali go mówiąc z flegmą: „Bierz wolno”.

On — przeciwnie — szalał, jak gdyby nigdy nie miał czasu. Wiedział, że Anglicy umieją tonąć spokojnie i cicho; i on by tak potrafił, ale kiedy miał świadomość życia, żył. Czasami kpił sobie mówiąc do Anglików: „gdy utonę, żadna inna ryba nie odważy się mnie zjeść, tylko rekin.” Będzie więc częścią rekina. „Nie będę was oczywiście wtedy zjadał” — śmiał się. „Tylko żywych, pływających w wodzie Niemców, aby nie szli już na żaden inny statek”.

Życie w nim kipiało. W jego pojęciu marynarz był żywiołem. Kiedy wychodził na brzeg, nie starał się udawać człowieka z lądu. Nie gardził ani dunkrami, ani niebieską koszulą. Idąc tak ulicami miasta niósł z sobą powiew morza. Szedł lekko, po nieruchomym cemencie chodnika, przyglądał się kształtnym łydkom dziewcząt, piękne biodra budziły w nim pożądanie. Z uśmiechem zaglądał kobietom w oczy; niektóre były oburzone, częściej uśmiechały się do niego. Z przechodniów, niechętnie przyglądających się tym zaczepkom, nic sobie nie robił. Nie zbierał żadnych pamiątek i nie nosił żadnych ozdób. Ale raz w Liverpoolu, w knajpie, zobaczył u marynarza Norwega złoty, ciężki łańcuch z przyczepioną maleńką kotwicą i sercem. Norweg miał szerokie dunkry, był w wypłowiałej, niebieskiej koszuli, rozchełstanej pod szyją. Z podwiniętych za łokcie rękawów wychodziły ręce jak manile. Nosił ten łańcuch swobodnie i z dumą przy lewym napiętku. Rzezimieszki z otwartymi gębami nienawistnie przyglądali mu się mierząc swe siły, myśląc o zdobyczy. Nie mieli żadnych szans. Norweg był beztrąsko pewny siebie. Podobał mu się, a jeszcze bardziej jego łańcuch. Po przepiciu kilku kolejek, kupił łańcuch za dwadzieścia funtów. Odtąd nosił go na lewej ręce, podobnie jak tamten. Na pięknym, maleńkim sercu kazał wyryć: „Polak, Bohdan Wrona”.

Nigdy się z nim później nie rozstawał. Był to jakby jego rodowód i dokument. Niektórzy marynarze na wypadek śmierci nosili przy napiętku na tasiemce blaszkę z nazwiskiem i adresem. Zawsze się z nich wyśmiewał, a teraz poszedł w ich ślady. Pełen wesołości szedł w dunkrach nawet na tańce; był to zuchwały nietakt w stosunku do eleganckiego świata. Skutek był jednak taki, że panny nie obrażały się, ale bardziej lgnęły do niego. Był beztrąski, często wpadał w szaloną radość, swawolił. Wtedy nie było dla niego niemożliwości. Często przeładowywał. Rzadko jednak raził ludzi; przeważnie dokoła niego nie było widać smutnej twarzy.

Prócz Niemców kochał wszystko. Gdyby Niemców nie było, byłby szczęśliwy. Kiedy słyszał o zwycięstwach Niemców śmiał się jak potępieniec. Niechby sto niemieckich samolotów przeleciało, miałyby wtedy do czego strzelać. A strzela! nieźle. Pod Londynem, kiedy wszystkim dech w piersiach zapierało, trafił do nurkującego do nich samolotu tak dokładnie, że wszyscy radośnie odsapnęli nie wiedząc, jak to się stało. Samolot nie przestając nurkować wbił się w wodę tuż przy nich.

Blisko Scapa Flow na redzie, gdy Heinkel po storpedowaniu statku ucieka! tuż nad wodą na wszystkich obrotach rozbił go tak, że zostały po nim tylko pływaki. Potem kapitan nazywał go „swoim szczęściem” i śmiesznie dodawał że jeśli porzuci jego statek to i on pójdzie precz. Kiedy ludzie narzekali na wojnę, wcale ich nie słuchał.

Wiedział, że Niemcy postanowili bezwzględnie wytepić jego rodaków. Przyjął to bez tragedii, ale z szaleńczą determinacją — choćby jeden na wszystkich. Odkąd to pojął, wojna stała j się jego żywiołem. Gdy myślał o milionach pomordowanych Polaków, odczuwał ich ból. Ból tych ludzi gasił wartość jego życia, był między nimi. Lecz on żył. Miał w sobie świadomość życia. Zemsta przeżarła mu mózg, krew za- ! mieniała się w jad, który zabijał. Wojna była spuścizną tych, którzy polegli. Sumiennie wypełniał ich wolę i dla tego był szczęśliwy.

Był koleżeński. Wspomagał kolegów swoją radą i siłą.

W bójce pięść jego smagała celnie. Pieniądz nie stanowił , celu jego życia. Jego szeroka natura, zda się, ogarniała wszystko. Lubił czytać książki. Często mówił Anglikom , o ich morskiej historii. Umiał pracować, szło mu to lekko i zrecznie. Szturmani mówili, że jest doskonałym marynarzem.

Sterował jedną ręką, już nie myślał o Peggy. Spojrzał na : zegar, dochodziła dwunasta. Nucił cicho piosenkę o księżycu, którą słyszał w ostatnim porcie. Ze schodów doszły go odgłosy kroków następnej wachty. Do sterówki wszedł hałaśliwie marynarz. Powiesił kurtkę na haku, rzucił pas ratunkowy tuż przy kompasie i sapiąc jak człowiek zbudzony ze snu, stanął przy kole.

Zdał mu kurs i wyszedł.

Szedł wolno po rozświetlonym pokładzie. Zatrzymał się na chwilę na śródkręciu. Księżyc świecił jasno. Patrzył i na równe kolumny statków, nie dymiły prawie w/całe. Z przodu doszło go kilkanaście słabych wybuchów, słabo się odbiły o burty. Patrzył na zewnętrzną stronę: szli z lewej strony konwoju w pierwszej kolumnie jak bufor. Kontrtorpedowiec, idący blisko, wykreci! się do nich rufą : i pomknął szybko zostawiając za sobą pianę. Wszedł do messy.

W messie Anglicy klnąc Niemców mówili co drugie słowo o inwazji.

— Hej, „Pole” — krzyknął jeden — nie będzie już teraz . długo do powrotu do twego kraju.

Nie zdziwiło go to wcale, mówili mu tak przynajmniej raz dziennie przez całe pięć lat. Uśmiechnął się, teraz się nie mylili. Słuchając ich rozmowy wypił kubek gorącej herbaty, potem poszedł do kabiny, zanurzył się w swoją koję i zasnął.

Anglicy także Wkrótce opuścili messę, idąc do swoich koi. Na rufie zrobiło się cicho.

Statki płynęły w ściśniętych kolumnach, powoli, zuchwale idąc w stronę Francji. Księżyc zaszedł. Konwój szedł, przysłonięty nocą, tuż przy brzegu Francji. Bomby głębinowe odzywały się jeszcze z lewej, od strony brzegu, nie przeszkadzając wcale śpiącym pod pokładem. Przyzwyczajeni do tych odgłosów spali twardo.

Nagle podrywają się wszyscy. Dzwonki dźwięczą na alarm.

Zerwał się z koi, chwycił pas ratunkowy i wybiegł z kabiny. Na pokładzie uderzył go w oczy jarzący blask, to okręt idący przed nimi wystrzelił dwie rakiety. Skoczył na trap wiodący na gundeck gdy biegł do działa, zatrzymał go na chwilę huk eksplozji i wstrząs. Przytrzymał się poręczy. Z przodu statku wystrzelił w górę słup wody i dymu. Trafiła ich torpeda. Z gundecku zagrzmiało działo dwa razy, raz po raz. Wbiegł pędem. Widział usuwających się na pokład Anglików. Skoczył i przylgnął do podstawy . działa. Pociski głucho biły w żelazo jęcząc piekielnie, leciały na wszystkie strony.

Poczuł nagły ból w lewym obojczyku, ukąsiło go, ale ręką mógł ruszać. Wychylił oczy; ścigacz z rykiem leciał niedaleko nich bijąc ze wszystkich działek i karabinów maszynowych. Za ścigaczem z boku. naprzeciw ich kursu, zabieliła się woda. Wyszedł z niej kiosk łodzi podwodnej, żłobiąc białą bruzdę. Cały pokład jej był pod wodą. Działo z kiosku skręcone w ich stronę, ziało ogniem.

Dwa pociski trafiły. Mostek przestał istnieć. Spojrzał na leżących Anglików i ryknął:

— Hej. który może odpalić?

Wstał jeden jak cień, przycisnął ręką brzuch, przysunął się do zamku działa.

„Pole!” załadował w jednej chwili. Przez celownik wczepił wzrok w kiosk. Podchodzi coraz bliżej.

— Tak, teraz.

— Ognia! — krzyknął! silniej, zmuszając półzywego kolegę do ostatniego wysiłku.

Działo drgnęło. Pocisk pękł w kiosku znosząc go doszczętnie. Anglik osunął się tuż przy zaniku na pokład przyciskając brzuch obydwoma rękami. Pokład łodzi wynurzył się z wody. Stał w miejscu całą swoją długością.

Obejrzał się. Śródkręcie jego statku było pod wodą. Przytrzymując pas skoczył do morza. Szybko zgarniał wodę ręką i nogami odpływając od tonącego statku.

— Dzielny mały stateczek — rzucił mu na pożegnanie.

Ostatnia rufa szła w wodę wraz z jego kolegami, leżącymi pokotem przy dziale.

Najbliższe statki grzmiały wszystkim ogniem dobijając łódź podwodną. Miały łatwy cel, lekką robotę.

Kiedy uniósł się z falą, nie widział już łodzi podwodnej. Statki wstrzymały ogień i było cicho. Wolno spływały rakiety oświetlając ciągle płynący tym samym kursem konwój. Dokręcił szkło lampki. Czerwone światełko nie wyblęskło.

— Do diabła! — zaklął. — Przecież od tego lichego światełka może zależne jest moje życie.

Statki przepływały z dala nie widząc go. Nie krzyczał. Szły za daleko, by go usłyszeć. Nie miał do nich najmniejszej urazy. Cieszył się, widząc, że wciąż płyną załadowane i groźne. Jedna łódź podwodna nie będzie już więcej słała im torped.

Uśmiechnął się do siebie. Tak, konwój musi dopłynąć do Francji, na zgubę Niemcom. On, ranny, płynący w wodzie, cieszył się tym wszystkim. Konwój go minął i zniknął. Dochodziły go jeszcze wybuchy bomb głębinowych. Słabe uderzenia wody odczuł na własnym ciele aż i one usiały i zrobiło się zupełnie cicho. Wiatr tylko wiał i szumiały fale. Nigdy nie czuł się tak samotny jak teraz. Zdany na łaskę fal i wiatru. Pas ratunkowy’ doskonale go nosił, gdyby woda była ciepła, byłoby mu nawet przyjemnie. Dał północno-wschodni wiatr i chłostał go po twarzy. Woda była przejmująco zimna i gorzka. Ciągle zalewała mu twarz. „Może i lepiej!” — myślał. Krew mu zakrzepnie na obojczyku.

Czuł się dobrze. Gdy było bardziej zimno, przez głowę mu przechodziło: „Odplączę ja im — z naddatkiem”. Był pewien, że gdy słońce wzejdzie i zrobi się widno, zobaczy go jakiś okręt przyjacielski lub samolot. Odpocznie sobie wtedy trochę i z powrotem wróci na statek. Przypomniała mu się Peggy i ciepłe łóżko. Zawsze rano przynosiła mu filiżankę gorącej herbaty, całowała go i szła do pracy. „Dobra, mała Peggy. Wrócę do niej i będzie mi po stokroć lepiej”.

Na chwilę zza wystrzępionych chmur pokazały się gwiazdy. Było jaśniej. Potem w zbitej powłoce przyszły chmury, zrobiło się czarno. Woda zlewała się z powietrzem. Zdawało mu się, że płynie zawieszony ni to w wodnie, ni to w powietrzu. Czarna maź była pod nim i nad nim. Czasami fala błysnęła w załamaniu tuż przy nim.

Zimno mu było, czuł, że słabnie. „Tak jest chyba w piekle” — pomyślał sobie, „tylko nie tak zimno”. Nie lubił nigdy samotności, kochał ludzi i stale był między nimi. Czuł znowu, że słabnie. Wokoło pustka, ani okrętu, ani samolotu. Wiatr dał silniejszy'. Śmiał się ze swojej komicznej obawy, by wiatr go nie zepchnął do Francji w ręce Niemców. „Zęby wytrzymać tylko do wschodu słońca” — nie wychodziło mu to z głowy.

Znów ukazały się gwiazdy. Wiatr pędził chmury nisko nad wodą. Na wschodzie czarno-granatowe niebo zaczęło sinieć. „Słońce wzejdzie niedługo” — pociesza! się. Całe ciało miał sine. Czuł, że drętwieje. Woda zalała go kilka razy. Pił ją zimną jak lód i dusił się. Nie odczuwał teraz ani zimna, ani bólu w obojczyku. Głowa mu drętwiała i robiła się ciężka.

Na wschodzie niebo coraz bardziej jaśniało i chmury były już w jaskrawej czerwieni. Słońce wychodziło z wody powoli, ogromne, czerwone jak krew. Patrzył na nie. „Tam jest mój kraj” — zaświtało mu w głowie. Przed oczami miał blask jaskrawy, czerwony, oślepiający. Przez przymknięte oczy ciągle widział blask. Buchnął ogień biały, oślepiający, jak w nocy z olbrzymiego działa. Powoli ciemniał, aż zgasł.

Słońce szło coraz wyżej pieszcząc fale złotem, przesycając powietrze ciepłem. Morze teraz było przyjemne i żywe, jasne i rozświetlone wokół horyzontu. Wysokie fale łamiące się na czubach, błyszczały słońcem. Wiatr był teraz łagodniejszy i ciepły. Spędzone chmury odsłoniły czysty, poranny błękit nieba. Nie było widać żadnego samolotu i okrętu na horyzoncie. Płyną! sobie sam w tej pozornej pustce. Chwilami fale wyrzucały go do połowy, pokazując głowę i pierś w rozpiętej, niebieskiej koszuli, ściągniętej pasem ratunkowym. Włosy zlepily mu się przylegając do czaszki. Kiedy zanurza! się w wodzie, jaśniała tylko biała twarz z sinymi oczodołami, nieruchoma, ostra, jak gdyby było w niej utajone życie. Miłość i nienawiść, ożywione walką, wyrzeźbiły mu twarz teraz w formie ostatecznej; śmierć ukazała istotny sens jego życia.

Twarz, która jednych mogłaby roztkliwić i pobudzić do miłości całego rodzaju ludzkiego, innych przerażać siłą wyrazu zawartej w niej woli walki. Widzieliby w niej pogardę i nienawiść. Rozpoznawali by w nim swego wroga, którego śmierć uczyniła niezłomnym, nieprzejednanym, groźnym i strasznym.

Około południa płynął wzdłuż francuskiego brzegu. Mijał okręty przyjacielskie, strzelające w stronę lądu. Później fale zepchnęły go w ciżbę tysięcy inwazyjnych statków. Płynął wśród przyjaciół. Marynarze zwijali się jak opętani wyrzucając ładunek na krypy i barki. Nie słyszał ich, ani nie widział. Przepląnął blisko statków z jego konwoju.

Zobaczyli go. Marynarze zbiegli się przy burcie przyglądając mu się. Płynął jak na inspekcji. W spokoju przyjmował ostatnią uroczystą, pożegnalną defiladę. Marynarze widzieli wiele pływających trupów, nie widzieli jednak takiego jak on. Patrząc na niego nieruchomieli w zupełnej ciszy odprowadzając go wzrokiem. Nie odzywali się do siebie ani słowem.

Kiedy przepływał obok polskiego statku, najmłodszy chłopak pokładowy krzyknął:

— Patrzcie, on żyje — i skoczył po trap, aby go wyciągnąć z wody.

Pierwszy oficer nie chcąc mieć trupa na pokładzie, pohamował go słowami:

— Zostaw go. Jemu już nic nie trzeba.

Chłopak zaniechał zamiaru, stanął jak wryty i wczepił oczy w jego twarz. Kiedy odpłynął daleko, chłopak ryknął:

— Przysięgam, że on żyje — takim głosem, że oficer nie wiedząc, czy miał słuszność, czy chłopak zwariował, szybko odszedł.

Płynąc obok szpitalnego statku znów odbierał ostatnią ciszę pożegnalną. Z górnego pokładu, pochylone nad poręczą, przyglądały mu się pielęgniarki. Kiedy był blisko, jedna z nich wyszeptała głęboko:

— Patrzcie, co za twarz, na pewno jakaś dziewczyna go kocha i serce jej pękło. Mój chłopak jest marynarzem. Na myśl, że i on tak może pływać — nie, wtedy chyba umrę.

Była jednak dzielna. Z szeroko otwartymi oczami obdarzyła go swoją miłością. Czuła, że oddech jej się zatrzymuje i że cała drętwieje.

Przykryła oczy rękami usuwając się na leżak. Inne wolno odchodziły.

Kiedy odpłynął dalej i fale go już zasłoniły, dziewczyna znów wyszeptała cicho:

— Tej twarzy nigdy nie zapomnę,

Znów płynął sam. Zostawił za sobą przyjacielskie statki i płynął przy brzegu, zajęтым przez Niemców. Słońce z wysoka ciepłem pieściło mu twarz. Morze kołysało jak matka. Przecież dobrze go znało. Oddawał mu prawie pogańską cześć żyjąc jak żywioł, jak jego syn.

Pod wieczór, kiedy słońce było już blisko horyzontu, podpłynął do niego niemiecki ścigacz patrolowy. Jeden z marynarzy uchwycił go za pas ratunkowy na piersiach i uniósł z wody. Patrzyli na jego nogi zgięte w kolanach, na ręce, zgięte w łokciach i zaciśnięte w kułak dłonie. Przyglądając się twarzy doznali wstrząsu. Inny marynarz podniósł lewą rękę z wody, obejrzał złoty łańcuch badając dokładnie jego wartość. Po chwili wyczytał cicho:

— Polak.

Wypuścił zimną rękę, która z powrotem zanurzyła się w wodzie, i błędnym wzrokiem błądził po twarzach kolegów. Ci zastygli nieruchomo nie mogąc oderwać oczu od tej twarzy.

Wojował jeszcze po śmierci, jak gdyby za żywota miał walki za mało. A teraz niesamowitym spokojem drwił sobie z nich. Miał dla nich okropną pogardę, paraliżował im mózgi. Dławił i ciągnął za sobą, jakby mówił: „Nie przebaczam”.

Za dużo bólu zadali mu za życia.

— Puść go — charknął oficer nie każąc nawet szukać dokumentów.

Ścigacz zaręcza! i pomknął. Oficer wrzasnął:

— Przeklęty naród! Straszą nawet po śmierci.

— Nawet Hansowi odechciało się rabować — podtrzymał drugi. — Co to było, miedź?
— ciągnął dalej.

— Nie żadna miedź, szczerze złoto.

— Dlaczegoś nie ściągnął, idioto?

— Mogłeś ty.

Oglądali się za siebie — nieswojo im było.

Fale go niosły. Posiniał na twarzy jakby z gniewu. Ciemność znów go spowiła, jak ubiegłej nocy. Kiedy księżyc wszedł na niebo, był już blisko brzegu, przy cyplu Półwyspu Normandzkiego. Tu fala wyrzuciła go na zasieki z drutów kolczastych, pogmatwanych wokół pall wbitych w wodzie. Do pasa był wynurzony z wody z jedną ręką wzniesioną w górę.

Przechodzący brzegiem wartownik wziął go za żywego. Wygarnął cały magazyn zabijając go po raz drugi.

Kiedy przybiegł patrol — już go nie było. Silniejsza fala zdjęła go z drutów i niosła dalej.

Płynął teraz na otwarty Atlantyk. Wolny jak marynarz Wierny swemu żywiołowi, który mu dawał życie i wolę do walki, a teraz przyjął go do siebie jak wiernego syna.